

Menghini Ligi

Zabójca smoków

Z „Fantastyka” Marzec 1990

Wydawało się, że cały świat zmieścił się na tych kilku metrach emanujących niepokojem, uniwersum-klatka o drażniąco nieokreślonych granicach, więzienie, z którego siedzący za kierownicą mężczyzna usiłował się ze wszystkich swoich mizernych sił wyrwać.

Droga kończyła się przed zrujnowanymi zabudowaniami. Kierowca zatrzymał samochód, wyłączył reflektory, ale nie ruszył się, jakby niezdolny do podjęcia jakiejś decyzji. Wtedy uchyliły się drzwi domu, przecinając ciemność blizną światła. Ktoś zawołał go... a może tak mu się tylko wydało. Jednak opuścił swoje bezpieczne schronienie i skierował się ku wejściu do budynku.

- Miło znów pana zobaczyć, panie buchalterze. - Wsparta na podtrzymującym jej wychudłe i pokurczone ciało kosturze wiedźma uśmiechała się drwiąco. Dobrze wiedziała, dlaczego tu się znalazł, zawsze to wiedziała.

- Chcę tam wrócić. I tym razem już nie tylko na parę godzin.

- Ostatnim razem nie był pan tego taki pewny - zauważyła, usuwając się jednocześnie nieco na bok tak, by mógł wejść do środka.

- Proszę nic nie mówić... - W jego głosie dawało się wyczuć wyraźne naleganie. Znał ten dom i nie czekając przeszedł przez sień, schodząc od razu do przyległej izby. Za sobą słyszał ciężkie człapanie staruchy. Na zasypanym okruciami stole stała filiżanka gorącego, parującego mleka. Pomyślał, że przyszedł w nieodpowiednim momencie.

- Nie przeszkadzam pani, Leonio? Widzę, że właśnie pani jadła... ale ja musiałem, rozumie pani... musiałem... - tłumaczył się, siadając na zżartym przez czas i komiki krześle. - Przez cały tydzień myślałem tylko o tamtym ciebie... prawdziwym... męskim. I ten pojedynek... Tutaj wszystko jest bezsensowne, banalne! Chcę tam wrócić. Już teraz, zaraz. Na zawsze!

Wcale go nie słuchała. Z trudem dowlokła się na swoje miejsce, usiadła z westchnieniem ulgi i bez pośpiechu kończyła kolację. Mężczyzna, nie spieszony, wypełniał chwile oczekiwania potokiem słów, wylewając to, co mu leżało na sercu: rozczarowania, wspomnienia, pustkę egzystencji pozbawionej nadziei, wciąż takiej samej, zawsze monotonnej...

Stara z niewzruszoną obojętnością posilała się dalej, aż do ostatniego łyka mleka. Dopiero wtedy spojrzała z ironią na swego gościa.

- Żeby przejść na drugą stronę trzeba czasu i umiejętności koncentracji - stwierdziła. - I nie jest powiedziane, że niesie to ze sobą zawsze tylko miłe skutki, zwłaszcza jeśli ktoś chce tam pozostać na dłużej.

- Błagam. Mimo wszystko spróbujmy. Przyniosłem wszystkie swoje oszczędności.

Ponownie zapadła cisza. Chwila, przez którą usiłował wyczytać w nic nie wyrażających oczach rozmówczyni możliwą odpowiedź.

- Jak to się chce zmieniać życie... - westchnęła, jakby recytując słowa monotonnej, od zbyt już dawna powtarzanej litanii. Jej wzrok zdawał się zagubiony w pustce.

- Przygody, silne wrażenia, sława, sukcesy, piękne kobiety, władza... Zmienić ten świat; zbyt ciasny, żeby zmieścić wasze życzenia. .. Kiedyż wreszcie to wy się zmienicie? Ale sądzę, że namawiać was do tego byłoby daremnym trudem.

- Ja już się zdecydowałem! - stwierdził w jakimś odruchu męskiej godności. - Wszystko, byle nie było jak dotąd. - I, już bardziej uległe, dodał: - Wystarczy mi silna osobowość. Nie mam zbyt wielkich wymagań - jakiś wojownik, niekoniecznie ktoś z tych największych bohaterów...

- Tam, gdzie pana wysyłam, nie ma nedorajdów. Albo jest się gigantem, albo nikim! - roześmiała się, ukazując poźółtkie, pełne szczerb uzębienie. - Kładź pieniądze na stół i siedź spokojnie. Potrzebuję chwili ciszy.

Zamknęła oczy, oparła obie dłonie na chropowatym blacie stołu i zamarła w bezruchu. W milczeniu wdzierał się odległy szum rzeki, jak refren, wokół którego zdawała się krystalizować przejmująca cisza.

Mężczyzna wpatrywał się uporczywie w kobietę, próbując w zmarszczkach, po których pełzało, tworząc sfery blasku i cienia, słabe światło lampy, odcyfrować to, czego jednocześnie oczekiwał i bał się. Oczekiwanie przedłużało się, nie do powstrzymania i nie do odparcia, jak nadzieje i lęk, które opanowały

jego umysł. Zaledwie spostrzegł kładące się na pobielanych ścianach cienie, nie widział wcale zmian zachodzących w otaczających go przedmiotach. Była tylko ona, jej pomarszczona skóra, jej ciało, jakby już martwe.

Wreszcie i on zaczął się przemieniać. Nie było w tym nic dramatycznego. Nie cierpiał. Wystarczył moment, tyle ile trzeba, żeby zamknąć oczy, chwilka na przepędzenie niespodziewanej myśli i ten ktoś, kogo znał, po prostu przestał istnieć.

Ta świadomość pozwoliła mu zapomnieć o starej kobiecie, pomrukiwaniu rzeki, a także o swoim lęku. Przez chwilę przypatrywał się wielkiej masywnej ręce, którą trzymał wzniesioną na wysokości nosa.

- Co się dzieje? - zapytał niepewnie.

- Chciałeś stać się siłaczem - przypomniał mu zagubiony w otaczających go ciemnościach głos staruchy. - Chciałeś mieć życie nieprzeciętne... no więc dostałeś buchalterze, to, czego chciałeś.

- Gdzie jestem?... Kim jestem?

- Jakie znaczenie mają imiona? To tylko puste symbole. Jesteś kimś, nie wystarcza ci to? - Głos megieri dobiegał z bardzo daleka, co jeszcze powiększało w nim uczucie zagubienia.

Podniósł się. Zakręciło mu się mocno w głowie; objął ją mocno dłońmi i poczuł gęstą czuprynę. Pełen niedowierzania przejechał dłońią po potężnym byczym karku, mocarnej klatce piersiowej, gdzie pod skórą grały powrozy twardych mięśni. Odetchnął z ulgą i starał się uspokoić walące z emocji serce.

- Ale kim jestem?

Nie czekał na odpowiedź. Nowe ciało dawało miłe uczucie potęgi. Spostrzegł, że wszystkie członki reagują posłusznie na bodźce umysłu. Był... wspaniale silny.

Roześmiał się, a otaczający go mrok odrzmiął dźwiękiem jego męskiego głosu, jak letnie niebo odbija huk niespodziewanego grzmotu. Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozbłysło światło, ukazując wyraźnie otoczenie: splecione z trzciny ściany, ozdobione matami w jasnych kolorach, rozmieszczone w regularnych odstępach słupy, na których rozwieszono były różne przedmioty: tarcza, na wpeł obwisły bukłak, czaszka jakiegoś nieznanego zwierzęcia... na ziemi zaś, na warstwach skór, dwie półnagie dziewczyny, wpatrujące się w niego z przestrachem w oczach. Ich widok przygasił w nim ciekawość wszelkich innych rzeczy, rozpalając w umyśle płomień, który ogarnął szybko całe ciało.

- Kim jesteście? - spytał kobietę, która trzymała w ręku glinianą lampkę o drżącym płomieniu.

Trzeba było powtórzyć pytanie, żeby wyrwać biedaczkę z paraliżującego ją strachu.

- Twoje posłuszne niewolnice - szepnęła. - Proszę, nie bij nas, spełniałyśmy wszystkie twoje życzenia.

Dziwnie cieszył go lęk, który mógł wyczytać w oczach tego zbyt szybko dojrzałego dziecka.

- A jakie były moje życzenia? - zapytał już mniej stanowczym tonem.

Zaczerwieniła się. I zwiesiła głowę na piersi.

- Nie będziesz się na nas skarżył staremu Cravorowi, prawda? - wtrąciła druga, wyraźnie śmielsza od towarzyszki. - Posiadłeś nas i nie stawiałyśmy ci oporu...

Buchalter opanował chęć rzucenia ich na skóry i pozwolił sobie na chwilę zastanowienia: Leonia dotrzymała obietnicy, niewiele jednak zrobiła, żeby go oświecić co do sytuacji, w której się znalazł. Mógł tylko przypuszczać; że pojawił się ze swoim wspaniałym ciałem w jakichś barbarzyńskich czasach... Ale głowa z takim trudem nadążała za tysiącem goniących się myśli...

- Kim jest Cravor?

Dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawiał, nie ukrywała niedowierzania. Głaszcząc swoje długie, czarne włosy uśmiechnęła się. - A jednak byłeś pijany - powiedziała z drwiną w głosie. - Cravor jest naczelnikiem naszej wioski: wynajął cię, a ja i Verena jesteśmy częścią twojej zapłaty. Dziewice, jak sobie tego życzyłeś.

Nieoczekiwane wahanie pojawiło się w tak pewnym aż dotąd głosie. - Nie możesz zaprzeczyć... Rozerwaliby nas na strzępy, gdybyś...

- Nie mam zamiaru niczemu zaprzeczać - mruknął, nie mając ochoty na zmianę tematu rozmowy. - A czego chce ode mnie Cravor za tak szczodre wynagrodzenie?

Niedowierzanie ponownie pojawiło się w szeroko otwartych oczach dziewczyny. - Na wielkiego Boga Słońce, czyżbyś nie był może Manisem, zabójcą smoków? Mężnym wojownikiem z Północy?

- Oszczędź sobie pytań i odpowiadaj mi - przerwał.

- Przysięgłeś zabić potwora, który zagraża naszej osadzie - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Jest już prawie pora żniw, a ludzie boją się wyjść na pola. Powiesz, że byliśmy miłe dla ciebie?

"Manis", powtórzył w myślach, "zabójca smoków..." Heroiczny obraz wielkiego wojownika, obrońcy słabych, zaćmił swoim promiennym romantyzmem wszystko inne. Trzeba powiedzieć, że wiedźma stanęła

na wysokości zadania i dała mu to, o czym tylko mógł marzyć: nieujarzmiony świat, po którym wciąż krążyły potwory wyolbrzymiane jeszcze strachem prostaczków. A także posągowe ciało giganta, który w zamian za proste dary w naturze stawia czoło niebezpieczeństwom, by ratować dobra i życie bezradnych osad.

Kto wie co zrobiłby prawdziwy Manis? Z tym ciałem... z pewnością nie powinien bać się smoka! Zaniepokoiła go ta myśl. Smok... Jak stawić czoło smokowi? Przez lata napychał się fantastycznymi historyjkami o ogromnych gadach ziejących ogniem, które bezlitośnie wykańczali rycerze bez zwały i lęku, uzbrojeni tylko w swoją odwagę i czystość.

Nowo kreowany heros spojrział na dwie dziewczyny i szybko odrzucił ideę czystości... Nie, w tych barbarzyńskich czasach brutalność i gwałt towarzyszyły sile ciała i ducha. Żadnych niepokalaných istot, a tylko mężczyźni z krwi i kości... Uśmiechnął się do dziewcząt i gestem ręki zachęcił je, żeby podeszły bliżej. Zobaczył w oczach Vereny błysk zdziwienia i coś jakby wyzwanie w oczach jej sprytniejszej towarzyszki.

- Dziewica... - pomyślał z ironią. - Ta to już musiała poznać niejednego...

- Manisie! - Głos dobiegał tuż zza trzciny ściany, niweczając czar chwili.

Zabójca smoków odepchnął w geście irytacji obie przytulone do niego kobiety i wściekle uniósł głowę. - Kto tam?

- Cravor, panie - odpowiedział natręt. - Świt już blisko... musisz dotrzymać umowy.

Manis, owijając się w obszerny płaszcz znaleziony na progu, wyszedł z ociąganiem. Słaba poświata widoczna spoza ciemnych szczytów pobliskich gór zdradzała powolne nadciąganie dnia. Heros wciągnął w potężne płuca kłujące nocne powietrze i utkwiał wzrok w niewielkim zgromadzeniu stojącym nie opodal. W słabym świetle dymiących łuczów dostrzegł ogłupiałe od biedy twarze, puste spojrzenia, w których dawało się wyczytać tylko wieczny głód, chłód, strach i zawiść. Tyle zawiści. Przerastał ich o dobre dwie dłonie. Starął się bezskutecznie dociec kto z tego tłumu mógłby być naczelnikiem osady.

- Daliśmy ci nasze najpiękniejsze córki - płaczliwie zabeczał Cravor ukrywając zdenerwowanie pod kapturem z koziej skóry. -, Całe pożywienie oddaliśmy dla ciebie... i teraz powinieneś uwolnić nas od smoka, zanim zmarnują się całkiem zbiory.

Szef osady wydał mu się nudny ze swoimi pretensjami i bohater miał chwilę czasu na to, żeby się zastanowić, żeby pomyśleć... Jak można stawić czoło smokowi? Był prawdziwym wielkoludem, ale jak duża będzie bestia, z którą przyjdzie mu się zmierzyć?

- Boisz się? - szyderczo uśmiechnął się jeden z wieśniaków wyglądający jeszcze głupiej niż pozostali. Natychmiast zresztą przestraszył się swego zuchwalstwa i tchórzliwie skrył się w mroku. Ale wojownik nie był w nastroju do wymierzania kary.

- Przynieście mi broń - ryknął. - Co przyrzekłem, tego dotrzymam. Ale będzie mi potrzebny przewodnik. Nie znam tych okolic, a nie chcę tracić czasu na błądzenie bez sensu.

Staruszek szedł posapując ze zmęczenia i strachu. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby złapać oddech, pochuchać na zsiniałe ręce, ukradkiem zerknąć na olbrzyma pogrążonego w kto wie jakich myślach.

- Słońce coś dziś ociąga się ze wstaniem - odważył się w końcu wyjąkać, chcąc przerwać otaczający go mur ciszy.

Manis wyrwany z zadumy spojrział na przegub, szukając informacji, której oczywiście nie znalazł. Jego gest wydarł z gardła starca pełne niepokoju westchnienie. - Chciałeś... - wyszeptał - chciałeś spojrzeć na zegarek...

- Nie wiem o co ci chodzi, starcze - z irytacją odezwał się Manis.

- Pochodzisz z dwudziestego wieku - nieufnie kontynuował stary. - Znasz czarownicę Leonię. Kazałeś się tu przenieść... Powiedz, że tak właśnie jest...

Nieoczekiwane słowa wstrząsnęły zupełnie nie przygotowanym na nie bohaterem. Spojrział niedowierzająco na swego rozmówcę. - Skąd wiesz to wszystko?

Przewodnik jęknął i bezwładnie oparł się o jakiś głaz, żeby nie stracić równowagi. - Ja także przybyłem stamtąd... Nazywałem się Aldrisi... To było już tak dawno... To był czas regulowania rachunków. Musiałem szybko wiać... Ale ty?

- Nieważne, jak się nazywałem - odpowiedział olbrzym. Usiłował stłumić w swoim sercu nostalgię za przeszłością. - Przybyłem tu, żeby odmienić swoje życie... na lepsze. - I bardziej, żeby przekonać samego siebie, niż z potrzeby bezużytecznej demonstracji własnej siły, rąbnął toporem w pień najbliższego drzewa, które upadło z jękiem łamanych gałęzi. Stary odzyskawszy trochę swoich mizernych sił roześmiał się i

rozkaszłał jednocześnie. - Brawo, brawo - zaskrzeczał. - Leonia zawsze dotrzymuje swoich obietnic... A w stosunku do ciebie okazała się ponadto wyjątkowo hojna. Także i mnie nieźle zaczarowała. Kiedy tu przybyłem wyglądałem jak Apollo... Zostałem nawet członkiem przybocznej gwardii wielkiego króla z równin... Szkoda, że czas płynie tak szybko. Popatrz na mnie,.. Ile lat mi dajesz? Osiemdziesiąt? A może tylko siedemdziesiąt? Nie, nie... Mam zaledwie pięćdziesiątkę i już jestem jedną z bezużytecznych gąb do żywienia. Cawor, to bydlę, wysłał mnie z tobą jako żarcie dla smoka... Tak skończył Aidrisi, doktor Aidrisi... - Rozpłakał się.

Heros poczuł coś jakby chłód, który nagle stłumił jego gorące marzenia i nadzieje. Był gotów stawić czoło smoczej bestii... ale nie lamentom ludzkiego strzępu, smutnej przepowiedni, o którą bynajmniej nie prosił.

- Rozumiem - mruknął po chwili pełnego napięcia milczenia. - No, ale zawsze miałeś przez te lata swoje sukcesy...

- A tak. Moje sukcesy... - odezwał się płaczliwie staruch. - Tu jest tylko jeden sukces. Zdeptać albo zostać zdeptanym. Dopóki byłem w stanie utrzymać miecz, to coś miałem z życia: oklaski, złoto i dziwki wszelakiego rodzaju... Ale nigdy nie znalazłem nikogo, z kim mógłbym czuć się naprawdę dobrze: przyjaciela, żony, kogoś, kto chciałby być ze mną nie tylko dla moich mięśni... Nie znalazłem wypoczynku, żadnego miejsca, w którym mógłbym odetchnąć czy ogrzać się zimą...

- Wystarczy, dziadku - zaprotestował nerwowo Manis. - Mam tu coś do załatwienia. Pogadamy innym razem.

Złowrogi ryk, dobiegający znikąd, przerwał spokój świtu.

Wojownik zdrewniał, a jego członki zastygły w bezruchu, jakby z przerażenia. Ale świadomość własnej siły wzięła przewagę nad lękiem: Manis nie ucieknie, jak zrobiłby to mdławy buchalter z poprzedniego życia! Na tę myśl zniknęły wszelkie rozterki, pozostała tylko jasna świadomość zabójcy smoków, badającego teren, oceniającego działania, które należy podjąć, ruszającego naprzód bez wahania.

Kilkoma skokami dostał się na spłaszczony wierzchołek skalnej ostrogi, która górowała nad ścieżką. Stamtąd, stojąc mocno na nogach i ściskając w obu dłoniach topór, obserwował parów, gdzie powinno pojawić się niebezpieczeństwo.

Potwór nie był zbyt wielki. Stojąc na tylnych łapach dosięgał zaledwie czterech metrów; wbrew oczekiwaniom herosa nie ział ogniem. W mroźnym powietrzu poranka jego oddech tworzył chmury pary. Mógł być gadem, który uniknął zagłady swojego gatunku, albo po prostu wybrykiem natury, a z góry nie wydawał się nawet tak groźny, jak zapowiadałby to jego ryk. Poruszał się powoli i niezdarnie i tylko ogon, który uderzając w kamienistą drogę wznosił tumany, skalistych odłamków mógł stanowić jakieś niebezpieczeństwo.

Manis czekał spokojnie, aż bestia bardziej się zbliży. Zapomniał o staruchu i jego łzawych kolejach losu. Zapomniał strachu, który opanował go w pierwszej chwili.

Smok kierował się prosto na niego. Rozwartą pysk znalazł się na wysokości jego piersi. Bez wahania pozwolił zwierzęciu wyładować swoją wściekłość. Dopiero kiedy przybliżyło się jeszcze bardziej, rąbnął je w paszczę. Pojawiła się smużka krwi. Cios nie był z pewnością śmiertelny, ale wystarczył, żeby rozjuszyć potwora, który ponowił atak.

Pod naporem gada zadrżała skała. Ale człowiek stał nieporuszony.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Zrobiło się upalnie. Atakująca na oślepego od wielu godzin bestia zaczęła zdradzać pierwsze oznaki zmęczenia. Nawet jej ryk stracił pierwotny ton groźby. Zdradzał już tylko bezsilną wściekłość i zmęczenie. Tym razem on wciąż był wypoczęty i świeży. Kiedy wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment jednym skokiem opuścił swoje bezpieczne schronienie i czekał, jak torreador na arenie, na ostatni akt dramatu, na atak wycieńczonej już bestii.

Tak też się stało. Wyminął z gracją atakującego smoka i zadał potężny cios, który pozbawił zwierzę tylnej łapy. Potwór padł z wyciem na ziemię. Manis, unikając uderzenia ogona, z równą siłą odciął łeb smoka. To był już koniec.

Jęk jego współtowarzysza rozwiął nachodzące go uczucie rozczarowania.

- Jesteś ranny? - spytał, podchodząc do kompletnie wykończonego starca, który, z trudem obrócił głowę.

- Nie jestem już nie wart nawet jako żarcie dla smoków... - uśmiechnął się gorzko. - Serce już nie chce pracować...

- Zabiorę cię do wioski.

- Nie warto - westchnął starzec. - Muszę zdechnąć... i wolę żeby to stało się tutaj...

Każde słowo wymagało od niego strasznego wysiłku, ale Manis czytał w jego oczach chęć rozmowy, jak gdyby chciał w ten sposób zostawić jakiś ślad po sobie, chociaż słowa.

- Bądź jeszcze przez chwilę cierpliwy - kontynuował starzec. - Wybacz mi to, co ci przedtem powiedziałem. W końcu i tu można nieźle żyć... To tylko ja miałem pecha. Jak ktoś ma takie ciało, jak ty, to może tak nie skończy... Ale jeśli byś któregoś dnia poczuł się zmęczony, chciałbyś wrócić... Wiem, że to możliwe, trzeba tylko chcieć. Wystarczy zmusić Leonie, żeby wypowiedziała jedno ze swoich zaklęć...

- Leonia jest tutaj?

- Oczywiście. Ona żyje we wszystkich czasach: Wie jak przenosić się z jednego świata w inny... - odpowiedział Aldrisi. - Długo ją śledziłem, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę... A teraz jest już za późno.

Manis przez chwilę rozkoszował się szaleńczym pomysłem. Wreszcie zapytał: - Gdzie ją mogę znaleźć?

- Na wschodzie... idź wzdłuż rzeki. Odnajdziesz miasto drewnianych wież.

- Jak je rozpoznam?

Oczy Aldrisiego zwrócone już były poza otaczający go świat. Potrząsnął głową, jakby chciał przeciwstawić się niewidocznemu rozmówcy.

- Tak bardzo chciałbym zobaczyć dom... - wyszeptał niepewnym głosem -..miałem dwóch synów... kto wie gdzie są teraz... Tutaj zawsze jest za ciepło albo za zimno.

- Powiedz jeszcze coś o Leonii! - nalegał wojownik.

- Ona jest... - wyzionął ducha.

Manis nadaremnie potrząsał nieszczęśliwie, usiłując wydobyć odpowiedź. Musiał przyjąć to, co stało się faktem. Wiedział niewiele, ale przecież coś jednak wiedział. Leonia mogła swobodnie przemieszczać się pomiędzy światem, który odrzucił i tym, który być może zbyt pośpiesznie zaakceptował.

Uroczystości trwały cały dzień. Mięso pociętego na kawałki smoka było zasadniczym daniem niekończącej się uczty. Manis znalazł się w samym centrum zamieszania, otoczony tymi, którzy czuli się w obowiązku poić go, zasypywać pochlebstwami, schlebiać bez miary. Imię Leonii zostało przegnane w najgłębsze zakamarki świadomości. Wino i starania Vereny oraz jej przyjaciółki sprawiły, że szybko o nim zapomniał.

Cała reszta była zapomnieniem. Dni, które spędził w osadzie stanowiły nieprzerwany ciąg następujących po sobie orgii i pijatyk. Ale poza nim nikt już nie świętował i w rzadkich momentach pełnej świadomości napotykał zawistne spojrzenia wycieńczonych pracą w polu wieśniaków i zmęczonych obsługiwaniem go kobiet.

Któregoś dnia, niespodziewanie dla bohatera, dał się słyszeć tętent końskich kopyt.

- Kobieto, gdzie mogę znaleźć Manisa, zabójcę smoka?

- W tej chałupie.

- Sądysz, że mnie przyjmie?

- Jeśli nie jest zbyt pijany, żeby cokolwiek zrozumieć - odpowiedziała kobieta głosem pełnym sarkazmu.

Wojownik usiłował nie zwracać uwagi na pałac obręcz, która ścisnęła mu głowę. Wywłókł się na próg.

- Tum jest! - zawołał ze źle kontrolowaną energią.

- Cześć ci - rzekł zsiadając z konia nowo przybyły. - Jestem wysłannikiem miasta Asgrew. Między moimi panami, handlarzami wełny a pewnym obcym księciem wybuchł spór i potrzebują oni dzielnego wojownika do udziału w sądzie bożym, od którego zależy ich los...

Mówił zbyt afektownie, zbyt starannie, a przede wszystkim za dużo! Manis z trudnością nadażał za jego słowami, zagubiony pośród komplementów i nie kończących się parafraz. Wreszcie, przeklinając oszałamiające go wino, wznosił ramię. Wydał z siebie pełen zmęczenia pomruk.

- Dobrze, dobrze, jadę.

Wysłannik wydawał się zaskoczony. - Nie pytasz o zapłatę? Heros uśmiechnął się. Przyszła mu do głowy cięta i pełna ironii odpowiedź, ale po chwili wszystko się pomieszało i tylko skinął potakująco głową.

Odjechał nie żegnany i kiedy znalazł się już po drugiej stronie wzgórz po raz ostatni spoglądając na uratowaną przez siebie wioskę, zdał sobie sprawę, że nie zabiera ze sobą nawet nazwy osady.

Ale może tak właśnie powinno być? Nowi przyjaciele przyjmą go i obsypią łaskami. Będą wiwatować, kiedy pokona przeciwnika, będą schlebiać, a kiedy ich opuści, zmęczony zbyt tłustymi kobietami, zbyt ciężkim złotem i zbyt mocnym winem, znów okaże się kimś, o kim się nie pamięta, kimś kogo nie warto ani nienawidzić, ani oplakiwać.

Nie miał jednak nigdy czasu, by się nad tym zastanawiać, by próbować coś zrozumieć. Wciąż ktoś błagał go o ratunek: ciągle trzeba było komuś stawiać czoło, odcinać głowy... i zawsze ten zamęt, hałas, płacz, śmiech, rżenie, miłosne zakłęcia...

- Czy ty jesteś Manisem, bohaterem z Asgrew, zabójcą smoków?

Cudzoziemiec nosił cieniutką, lekką szpadę, jaką zwykli przypasywać panowie, pełni żądy sławy nieproporcjonalnej do siły ich ramion.

Wyrwany z miłej nieświadomości, w której pograżyła go noc spędzona na pijatyce, heros z mruknięciem uniósł głowę, zastanawiając się, czy by nie warto pozbyć się natręta. Ale nieznamy był szybki w języku.

- Twoja sława dotarła aż do mego władcy, Aktera, króla Tautoru. Chciałby mieć cię na swoje usługi.

- Komu tym razem powinienem poderznąć gardło? - wymamrotał Manis. - Nieposłusznemu księciu Jakiemuś jaszczurowi, który zakłóca spokojny sen obywateli, czy może twój pan chce mnie tylko wystawić do pojedynku ze swoim zawodnikiem?

Przybysz uśmiechnął się i nie proszony siadł na stołku, przystawionym do stołu.

- Nic takiego - oświadczył. - Niebezpieczeństwo, z którym masz się zmierzyć; jest zupełnie innego rodzaju i być może nawet ty z twoim toporem nie zdołasz wiele zrobić.

Heros parsknął ze złości. Jeszcze nie trafił się nikt wśród tych, którzy prosili o jego pomoc, kto by nie uważał za swój obowiązek określić jego przeciwnika mianem "specjalnego", "innego"... Ale przez wszystkie te trwające całą wieczność miesiące, które spędził w tym świecie, znajdował zawsze tylko dające się porąbać mięso, kruszące się kości, pękające pancerze. Przez chwilę przebiegały mu przez głowę całe setki jego wyczynów, ulotność daremnego bohaterstwa, monotonia zawsze takiego samego scenariusza wydarzeń. Instynktownie sięgnął swoją potężną dłońią po pełny jeszcze kielich, ale rozmówca powstrzymał go.

- Chcę byś zgodził się lub odmówił trzeźwy.

Zabójca smoków poczuł się podrażniony bezczelnością tego stwierdzenia. Jego sława pijaka była wcale nie mniejsza niż wojownika, ale nikt z żywych nie ośmielił się mu o tym nigdy przypomnieć. Spojrzał uważnie na młodzieńca. Nie nosił żadnych niewieściach fintifluszków, ani też jakichś symboli poddaństwa... być może zasługiwał na to, żeby jeszcze trochę pożyć.

- Mój król wzywa cię do walki z przeciwnikiem, który posługuje się magią - kontynuował przybysz. - Tajemne siły, zakłęcia, piekielne potwory, przeciwieństwa, które przezwyciężyć może tylko człowiek zupełnie wyjątkowy. Wiem, że nigdy nie pytasz o wynagrodzenie, ale jeśli uda ci się spełnić zadanie, będziesz mógł zażądać wszystkiego, czego zechcesz. Mój pan jest gotów oddać ci władzę nad całą prowincją z równym mu tytułem suwerena i...

- Dobrze rzekłeś - uciszył go wojownik. - Nigdy me żądam niczego wcześniej.

Młodzieniec poczerwieniał. Prawdopodobnie nie przywykł, by mu przerywano, ale nie odważył się zaprotestować. Manis poczuł tajoną satysfakcję - ani mniejszą, ani większą niż wtedy, gdy napotykał pełen zawiści wzrok wieśniaków błagających go o pomoc, czy owych bogaczy obawiających się utracić swoje złoto albo swoje kobiety, które na równi bały się go, co i pożądały. Im więcej było zwycięstw, im więcej rozlanej krwi, tym czuł się potężniejszy. Nawet jeśli w końcu wszystko sprowadzało się do kilku chwil tajonej satysfakcji.

- Wobec tego dobrze by było wyruszyć natychmiast - zaproponował posłaniec. - Będziemy mieli okazję poznać się lepiej w drodze.

Kazał nazywać się Fredo, co na kilometr pachniało fałszem, ale Manis nie przywiązywał wagi ani do imion, ani do więzów przyjaźni. Toteż dni galopady ku nowej przygodzie nie przyczyniły się do powstania choćby poczucia koleżeństwa pomiędzy dwoma mężczyznami: jeden trwał pogrążony w swoich rozmyślaniach, drugi pozostawał obojętny i pełen wyniosłości.

Dotarli wreszcie do ściany lasu, którego drzewa tworzyły gęstą płataninę, niemożliwą do przebycia, jak mury potężnej fortecy, nad którą górowały podobne strażniczym wieżom potężne dęby.

- Oto Zielone Miasto - odezwał się z drżeniem emocji w głosie Fredo. - W nim kryje się nasz przeciwnik.

- Dziwna nazwa jak na las - zauważył heros. Tknęło go jakieś przecucie.

- Żyj tu najpotworniejsze istoty - mówił dalej towarzysz drogi. - W ich ciemnych kryjówkach czai się strach i śmierć, a w najtajniejszym miejscu ukryty jest najbardziej pożądany przez człowieka skarb. Żadne wojsko nie zdołało go nigdy zdobyć - a zresztą żaden rozsądny człowiek nie odważyłby się tam wdrzeć.

- Świat pełen jest szaleńców - zauważył sceptycznie Manis, bynajmniej nie przejęty całą przemową. - A twój król właśnie znalazł jednego!

- Dwóch - odpowiedział Fredo. - Bo ja jadę razem z tobą.

- Boisz się, że ucieknę ze skarbem?

Fredo potrząsał jedynie przecząco głową, nic więcej nie mówiąc. Zadał tylko w róg wyciągnięty z juków przewieszonych przez koński zad.

Przez chwilę wydawało się, że dźwięk zamarł, ale po chwili spoza horyzontu dobiegło podobne granie, przebiegające ponad polami, aby w końcu utworzyć jeden żalony koncert.

- Twój król nie ma wielkiego zaufania do swoich szaleńców - zachichotał Manis. - Albo też skarb, którego szukamy jest taki wielki, że trzeba całej armii, by go przetransportować.

- Będą na nas czekać, aż wrócimy. Jeśli wrócimy - mruknął posłaniec. - Teraz nie traćmy czasu na gadanie. Dzień jest jeszcze długi, ale przecież nie wieczny.

Zostawili konie przy pierwszych kolczastych zaroślach, które zagroziły im drogę. Dalej poszli na piechotę, nie zważając na czepiające się ich ubrań i pozostawiające krwawe pręgi na nagich ramionach krzewy jeżyn. Wkrótce palące ich dotąd promienie słońca zniknęły, zduszone gęstą siatką gałęzi i wraz z tym zerwały się ostatnie więzi łączące ich z uspokajającym codziennym światem. Nieznane były drzewa o chropawych konarach, podtrzymujące jak kolumny ogromne sklepienia zielonych liści, nieznane szmery, krzyki, wołanie niewidocznych zwierząt, nieznane nawet chwile ciszy, wypełnione tajemniczą groźbą.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, natknęli się na pierwsze ślady śmierci: szkielety ich poprzedników. Pogruchtane kości rozrzucone na dywanie mchów, otaczających je zielonym całunem.

- Jakie zwierzę mogło coś takiego zrobić z człowiekiem? - zapytał z lękiem Fredo, wskazując zmiążdżoną czaszkę.

- Takie, które raczej trudno by ci było powstrzymać twoją złoconą szpadką - z ironią odrzekł Manis.

Jego towarzysz nie podjął zaczepki. Ścisnął mocno intarsjowaną gardę i ruszył dalej. Ale po chwili zatrzymał się.

- Co to?

Manis pokręcił głową.

Hałas przypominał odgłosy zbliżającej się letniej burzy, ale nie dobiegał z nieba. To drżała ziemia, jakby wstrząsana tysiącami ton ogromnego ciężaru. Później dotarł do nich potworny, powtarzający się i coraz bliższy, ryk.

Fredo stał jak sparalizowany. Prawdopodobnie nigdy nie musiał walczyć ze smokiem i nigdy nie widział kilkutonowego potwora, pod którego ciężkimi łapami drży ziemia. Dla wojownika taki dźwięk był raczej czymś zwyczajnym, tym razem jednak wydawał się niewiarygodnie zwielokrotniony, jakby smoków były dziesiątki czy setki. Ale przecież tak umysł jak ciało były dobrze wytrenowane i chociaż ściana zieleni kryła jeszcze napastników, dobrze wiedział, że muszą już być blisko i trzeba będzie za chwilę stawić im czoło.

Manis nie wahał się. Jednym skokiem znalazł się na upatrzonym konarze pobliskiego drzewa, wciągając pośpiesznie w górę swego kompana.

Chwilę później zaroilo się u ich stóp od rozwścieczonych potworów, które błyskawicznie zniknęły ponownie w leśnej gęstwinie, ścigane jedynie własnym rykiem.

- Co to... co to było? - wyszeptał Fredo z niedowierzaniem. Manis miał najpierw zamiar odpowiedzieć, ale potem pomyślał, że dla tych prymitywnych ludów słoń musiał się wydawać równie nieznanym i potwornym, jak każde inne wielkie zwierzę.

- No i mamy wytłumaczenie, gdzie się zapodziały poprzedzające nas tu zastępy - powiedział tylko. - No, ruszajmy stąd, zanim wrócą..

Zagłębili się ponownie w las, korzystając dopóki to było możliwe z duktów wydeptanego przez gruboskóre bestie. Później drogę zamknęły im znowu splątane kolczaste krzewy.

- Jak tu się można w ogóle zorientować? - zaprotestował zagubiony Manis. - Nie widać nawet, gdzie jest słońce!

- Idźmy przed siebie. Wcześniej czy później dokądś dotrzemy - odrzekł Fredo.

- No to wyciągaj szpadę i zrobmy sobie przejście. Mam już dosyć tych zadrapań na skórze.

Fredo przecząco pokręcił głową. - Dasz sobie radę swoim toporem. Nie chciałbym stąpić ostrza klingi.

Heros parsknął ze złością, ale nie nalegał. Kątem oka zauważył lekkie drganie liści za swoimi plecami i wołał zająć się torowaniem drogi, zostawiając nową przygodę swojemu współtowarzyszowi. I rzeczywiście - uszli zaledwie parę kroków, gdy Fredo, klnąc głośno, padł na ziemię w splątanych gałęziach ogromnego gada.

- Nadszedł właściwy moment, żebyś wreszcie stąpił trochę klingę twojej bezcennej szpady - powiedział z ironią Manis, nie mając najmniejszego zamiaru interweniować.

Jego współtowarzysz nie miał czasu na odpowiedź. W rozpaczliwym szarpnięciu zdołał wyciągnąć sztylet i ugodzić w łuskowate cielsko, całkiem go już prawie oplątujące. Ten beznadziejny gest nie mógł powstrzymać napastnika. Fredo odrzucił więc broń i uchwycił zbliżający się w niebezpieczny sposób do jego gardła węzowy łeb.

Manis, stojąc na uboczu, rozkoszował się widowiskiem, którego koniec wydawał się łatwy do przewidzenia. Gad coraz silniej zwierzał śmiertelny uścisk, a ofiara z rozpaczą próbowała się nadaremnie opierać.

- Powiedz, kiedy powinienem się wtrącić - wymamrotał.

Zaatakowany zdawał się go nie słyszeć, a w każdym razie nie pozwolił sobie na błaganie. Walczył nadal, aż wreszcie, wbrew wszelkim przypuszczeniom, wąż przegrał: jakby za sprawą jakiegoś zaklęcia sploty bestii rozluźniły się i legły bez ruchu na ziemi. Niedawny łup stał się zwycięzcą wznoszącym okrzyki triumfu. Fredo kilkoma cięciami sztyletu pozbawił gada głowy i rzucił ją wojownikowi do stóp.

- Ktokolwiek rządzi tym lasem, wie dobrze, jak przyjmować nieproszonych gości. Zbierajmy się, bo inaczej zaskoczy nas tu noc!

Czas wydawał się zatrzymać w nierealnej drodze pomiędzy cieniami, pełnej oczekiwania na nowe zasadzki. Świat wydawał się znieruchomiał, pusty jak grobowiec opuszczony nawet przez duchy. Cierniste krzewy ustąpiły miejsca miękkiemu dywanowi pachnących traw i mchów. Nawet drzewa wydawały się mniej agresywne ze swoimi sterczącymi w górę konarami pokrytymi zielenią.

Nie spotkała ich już żadna przygoda.

Odległe i trudne do określenia głosy zdradzały obecność potworów czy nieznanymi bestii, ale były tylko czymś dalekim, pozbawionym wszelkiej grozy. Nagle w owo dźwiękowe tło wdarła się głucha nuta, powolne, drewniane uderzenia, którym towarzyszył cichy szmer.

- Jesteśmy nie opodal rzeki - mruknął zaskoczony Manis.

Jego towarzysz spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Skąd wiesz o tej rzece? Byłeś tu już kiedyś?

- Być może - powiedział tylko wojownik, któremu z na wpół zapomnianych kawałków zaczęła się układać w całość mozaika niedopowiedzianego jeszcze do końca przecucia. Ktoś, dawno temu, mówił mu przecież o mieście z zielonymi wieżami z drewna i o rzece.

Pierwszy strumień, który przegrodził mu drogę był po prostu rowem wypełniony rwącym strumieniem wody, poruszającym młyńskie koło, zaopatrzone w kije, które uderzając w wydrążony pień, wydobywały z niego żałobne bębnienie.

- To nie jest dzieło zwierząt - zauważył Fredo.

- Słusznie. To taki sam sposób na trzymanie z daleka tych, którzy są zbyt słabi ciałem lub duchem, jak napotkane wcześniej potwory - zgodził się Manis.

- Nasz gospodarz powinien być już gdzieś w pobliżu - odezwał się Fredo z lekkim podnieceniem w głosie i przeskoczył na drugi brzeg strumienia.

Napotkali inne potoki i inne świadectwa działalności przebiegłego umysłu. Wreszcie znaleźli się nad ukrytą za gęstymi łożynami wielką rzeką. Po chwili wahania zdecydowali się podążać zgodnie z majestatycznym biegiem rzeki.

- I to tam miałyby być ukryte owe bajeczne Skarby? - roześmiał się Manis, ujrawszy rozpadającą się ruderę zawieszoną na rozchwierutanych palach.

Fredo wydawał się go nie słyszeć. Jakby pchany tajemniczą siłą przebiegł w kilku skokach chwiejącą się kładkę, wiodącą ku wejściu i wbiegł do środka, odsuwając gwałtownie matę, służącą jako drzwi.

Zabójca smoków pośpieszył za nim, wiedząc już, kogo spotka wewnątrz.

Leonia nie wydawała się ani starsza ani bardziej zgrzybiała iż ostatnim razem, kiedy widział ją w innym świecie i w innych czasach, kurczowo uczepiona kostura, zgięta pod ciężarem niepoliczonych lat, z oczyma bezlitośnie złośliwymi, zdolnymi przejrzeć do głębi każdego. Naprzeciw niej stał z obnażoną szpadą Fredo. Jego twarz zniekształcał grymas złego uśmieszku. Manis, wyraźnie tu niepożądany, wszedł jednak do wnętrza.

- Oto nasz mistrz - mruknął zirytowany Fredo. - Umiał mnie doprowadzić aż do ciebie. Dostanie swoją nagrodę. Ale najpierw pomyślimy o mojej.

Leonia zachichotała, bynajmniej nie przerażona ostrzem klingi przytkniętym do gardła.

- Jego umysł jest przeciwieństwem wspaniałych mięśni - powiedziała kwaśno. - No, ale przecież nie jest aż tak durny, na jakiego wygląda. I mogę z dumą stwierdzić, że ma w stosunku do mnie pewne zobowiązania.

Fredo zachnął się. - Znacie się? - zapytał i nie czekając na odpowiedź cofnął się na bok, chcąc mieć ich oboje pod kontrolą.

- Owszem. Wyciągnęłam go ze świata, w którym żył i dałam mu ciało godne jego pragnień. Zgaduję, że udało mu się osiągnąć pewien rozgłos, skoro sam król przełożył go ponad swoje zastępy jako towarzysza w drodze do mnie.

- Król? - powtórzył machinalnie zaskoczony Manis. Zawarte w głosie wojownika pytanie wywołało ponownie piskliwy chichot Leonii.

- Ach, więc on nic nie wie? - mruknęła współczująco. - Nie zna Jego Wysokości Aktera, pana wielu ziem i wielu miast, zżeranego jednak żądzą zdobycia jedyne go skarbu, którego nie posiada: nieśmiertelności.

- Zamilknij, stara! - z groźbą w głosie odezwał się władca. - To, czego pragnę, nie powinno go interesować, a nagrodzony zostanie za to wszystko, co dla mnie uczynił.

- Tak, tak, mogę sobie wyobrazić nagrodę, którą mu szykujesz... Czy ciągle jeszcze używasz trucizny, czy może raczej wolisz podrzynać swoim przyjaciółom gardła we śnie?

Manis w mgnieniu oka zrozumiał, dlaczego zaledwie draśnięty wielki wąż osunął się bez życia na ziemię i czemu Fredo nie chciał używać szpady przy torowaniu sobie drogi pośród leśnej gęstwiny.

- Głupcze, nie wierz jej. Czyż nie widzisz, że chce nas powaśnić?

- Twoja szpada... - wykrztusił wojownik. - Jest zatruta, prawda?

Fredo uśmiechnął się. - Owszem. I radzę ci dobrze, żebyś się zastanowił po czyjej jesteś stronie. Wokół lasu tysięcy rycerzy czeka na mój powrót. Sam sobie nie poradzisz...

- Ty też nie! - krzyknął zabójca smoków.

Strach malujący się na twarzy Aktera świadczył, że w krótkim przebiegu świadomości zrozumiał, jaki go czeka los. Nadaremnie próbował się jeszcze bronić. Topór przeciął najpierw wzniesioną w rozpaczliwym geście szpadę, a potem roztrzaskał klatkę piersiową.

- No, to znowu jesteśmy razem - zachichotała starucha, splunąwszy na leżącego u jej stóp trupa. - Ten bękart chciał mnie zabić, ale ja jeszcze bym sobie pożyła.

- Znasz naprawdę sekret nieśmiertelności?

Leonia odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Czyżbyś chciał być nieśmiertelny?

- Ja...

- Naprawdę nie wiesz, czego chcesz - przerwała mu wiedźma. - Nie wiesz nic o światach równoległych, o tajemnych potęgach, o siłach jednoczących wszechświat i jednocześnie dzielących go na tyle nędznych klatek. Jesteś tylko mikrobem, jesteś nikim! I zostań nim, jeśli chcesz być szczęśliwy. Wróć do swoich kobiet i smoków. I zapomnij o tym dniu...

Manis poczuł się urażony w miłości własnej. Ta słaba starucha traktowała go jak kapryśnego bachora, jego, który jednym ruchem mógł jej skrócić kark!

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Leonio - wybuchnął. - Uratowałem ci życie i teraz musisz mi się odwdziżyć. Chcę mieć twoją władzę, chcę przenosić się swobodnie z jednego świata do drugiego, chcę być wielkim magiem... chcę być wiecznością!

Jego słowa rozbrzmiewały wyzwaniem. Umysł zdawał się nieoczekiwanie uwolniony od pętającego go całunu ociążałości.

Nie wydawała się specjalnie zaskoczona. Zmrużyła oczy tak, że stały się tylko dwiema kresczkami na pomarszczonej twarzy.

- A więc znowu chcesz się zmienić... już ani Manis, ani buchalter... wszyscy i nikt. Ale czy naprawdę wierzysz, że swoim małym rozumkiem zdołasz zapanować nad podobną potęgą?

Wojownik wypiął z dumą pierś. - Tak! - oświadczył z całkowite pewnością, podkreślając swoje twierdzenie niebezpiecznym zamachem obosiecznego topora nad głową wiedźmy.

- Hm... Sam tego chciałeś, zabójco smoków - gorzko oświadczyła starucha. - Bądź czujny, bohaterze, bo teraz to twój umysł będzie decydował kim będziesz i jak będziesz żył.

Z grymasem zmęczenia na twarzy rozchyliła na wysokości piersi szatę i wyciągnęła skórzany naszyjnik, na którym wisiała drewniana głowa demona.

- Nie zwracaj uwagi na formę. Bez sensu byłoby komuś, kto żył w - dwudziestym wieku mówić o zaklęciach i magii. I tak byś nie uwierzył... Ten wstrętny łeb skradł mi najpiękniejsze lata młodości... No, ale nie mówmy o tym. Miej go zawsze przy sobie i ucz się używać swojej potęgi: jeśli zdołasz chcieć wystarczająco silnie, będziesz mógł być gdzie tylko zechcesz i przybierać takie kształty, jakie tylko ci się zamarzą. Ale używaj go rozsądnie. Byłoby ci trudno wyjść z opresji, myśląc się choćby raz, szczególnie, kiedy ktoś tak jak ty, myli rzeczywistość i marzenia.

Manis zawahał się. - A ty... rezygnujesz z takiej władzy?

Wiedźma roześmiała się, ukazując rzadkie, pożółkłe zęby. - Nie przejmuj się mną. Wcześniej czy później zmęczysz się, a wtedy amulet wróci do mnie. Bierz i próbuj...

Wojownik nie zwracał już na nic uwagi. Trzymając drewniany łeb demona w ręku pomyślał o swoim mieście: ruch na ulicach, kolekcja komiksów, wieża stereo, samochód... Kiedy przed jego oczyma przebiegały obrazy przeszłości, wszystko wokół zaczęło się jakby rozmywać, rozwiewać.

- Drogi panie! Zawsze z głową w chmurach, tak?

Zawołany zerwał się przestraszony; widział blat biurka, ułożone w stosy teczki ze sprawami do załatwienia, poobgryzany długopis i odpychającą twarz obserwującego go zwierzchnika.

- Przepraszam, panie kierowniku...

- Proszę sobie darować przeprosiny - wysyczał przełożony. - Wystarczy, że obija się pan w ciągu dnia, ale żeby jeszcze w czasie nadgodzin...

Buchalter poczerwieniał, wymamrotał parę słów usprawiedliwienia, pośpiesznie zebrał swoje rzeczy, nałożył płaszcz i wyniknął się z biura. Zachowywał się jak automat, a w jego głowie kłębiły się nieuporządkowane myśli. Jeszcze przed chwilą był posiadaczem ciała przypominającego górę mięśni... a teraz, stał się marnym pajacem wśród innych ludzkich robaków potracających się w wieczornym tłumie zapelniającym chodniki.

- To nie sen! - pomyślał. - Ja nie śnię... - Poszukał naszyjnika, poczuł pod ręką amulet. Przejęło go uczucie zarazem ulgi i przestachu.

- Mogę! - krzychało coś w nim. - Mogę! - Skoncentrował się cały na szalejących w jego umyśle pragnieniach.

Wszystko zniknęło. Wokół toczyła się zażarta walka; uderzenia szpad, wrzaski, jęki umierających i on, w połocistej zbroi, zadający z wysokości wspaniałego rumaka ciosy roztrzaskujące las włóczni, chwiejących się w bitewnym kurzu...

- Mogę! - krzyknął rozgrzany wspaniałą walką i spiął konia, który nagle stał się pełnym żaru kobiecym ciałem...

- Mogę! - Wydało mu się, że sięga nieba, oblodzonych niebotycznych szczytów.

Widział szarżującego na niego potwora, widział jego ślepią rozszerzone okrucieństwem. A on, stojąc pewnie na nogach, czekał spokojnie, gotów do zadania ciosu, silny, pewny siebie... Przypomniało mu się płaskie i bezużyteczne życie buchaltera, życie, do którego przecież wciąż mógł łatwo powrócić... Tak, czasem trochę nędznej beznadziejności jest całkiem dobre, może być nawet przyjemne...

Nagle usłyszał jakiś krzyk. Ale kto krzyczał? Z pewnością nie on. I nie potwór... Ten dźwięk wydarł się z gardła tłumu, dziwnego tłumu, bladego w świetle matowych lamp, niemego i nieoczekiwanego widza jego tytanicznego pojedynku. Ostatniego pojedynku...

- Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Widziałem tylko, jak szedł uśmiechnięty prosto pod tramwaj...

- Chryste! Właśnie mnie musiał trafić się wariat! Czy ktoś by mógł zaświadczyć? To nie moja wina!

Szum, słowa, syrena karetki. Cisza.

Przełożył jer